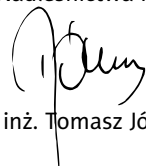


To była inna epoka ...



W minionym 2004 roku świętowaliśmy 80 - lecie Lasów Państwowych. Dla płońskich leśników rok 2005 jest rokiem jubileuszowym. Mija bowiem 60 lat od powołania do życia Nadleśnictwa Płońsk. Ten historyczny jubileusz był okazją do zaprezentowania naszego dorobku i uczczenia ludzi, którzy tę historię przez kolejne dziesięciolecia tworzyli. Obok oficjalnych uroczystości jubileuszowych połączonych z wręczaniem różnego rodzaju odznaczeń, medali niech i ten wywiad z najstarszym żyjącym dziś organizatorem naszego nadleśnictwa będzie prezentacją i ukoronowaniem dorobku płońskich leśników, którzy nie bacząc na przeciwności losu pracowali na chwałę swoją i całej leśnej braci.

Nadleśniczy Nadleśnictwa Płońsk

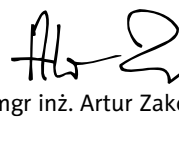


mgr inż. Tomasz Jóźwiak

Ażeby choć w części wypełnić lukę historyczną, dzięki swej upartości oraz pomocy udzielonej przez Pracownię Dokumentacji Dziejów Miasta Płońska, a w szczególności Panią Mirosławę Krysiak, po wielu próbach udało się przeprowadzić i zarejestrować wywiad, który wydaje się być możliwie najwierniejszym odtworzeniem początków płońskiego leśnictwa. Równolegle z tym wydawnictwem opracowywana jest monografia Nadleśnictwa Płońsk, będąca w zasadzie opisem powstania i 60-letniej jego działalności, oparta na udokumentowanych faktach, relacjach i wspomnieniach „ludzi lasu”. Jednak jej zakres i odczuwalny brak wielu postaci tworzących historię leśnictwa na tym terenie znacznie ograniczają i spowalniają tę mozolną pracę. Obok prób spisania „leśnej spuścizny” na bieżąco dokumentowana jest współczesność we wszystkich jej leśnych aspektach. Losy płońskich lasów i nierozzerwalnie związanych z nimi leśnikami mogły się dopełniać wzajemnie kreśląc ciągłą perspektywę dziejów prowadząc nas od tego „co było” – przez to „co jest” – ku temu „co będzie”.

Cieszę się, iż moim zapalczywym poszukiwaniom przeszłości towarzyszyło coraz to bardziej rosnące zainteresowanie pracowników Nadleśnictwa Płońsk, zarówno tych obecnych jak i byłych. Świadom braku jakichkolwiek informacji o lesie i leśnikach w naszej „małej ojczyźnie” czułem się zobowiązany do przekazania szerszemu gronu tego leśnego, dotąd nieopisywanego dziedzictwa.

Specjalista Służby Leśnej w Nadleśnictwie Płońsk



mgr inż. Artur Zakolski

The background of the page is a light gray with a subtle, artistic pattern of oak leaves. Some leaves are in the top right corner, while others are larger and more detailed in the bottom right, creating a sense of depth and texture.

To była inna epoka ...



Płońscy leśnicy – obecnie.

Stoją od lewej: M. Kornacki, R. Włostowski, J. Krzemiński, M. Zaczek, J. Wiśniewski, A. Oliszewski, D. Świercz, M. Górski, T. Józwiak, J. Sierdzińska, P. Binkowski, T. Dziewulski, J. Kamiński, W. Fusiński, E. Konieczny, J. First, Klęczą od lewej: M. Górnicki, H. Banaszewski, M. Wróblewski, Sz. Różański, J. Chmielewski, A. Zakolski, M. Sierdziński, P. Boski



Rozmowa

z Wincentym Murasiewiczem
byłym leśniczym Nadleśnictw Płońsk i Ciechanów

(Glińnojeck, 14 kwietnia 2005)

Należy Pan do pokolenia Polaków urodzonych w przededniu odzyskania przez Polskę niepodległości...

Tak, urodziłem się w 1917 roku.

Z leśnictwem, o ile wiem, związał się Pan jeszcze przed wojną...

Szkółę podstawową ukończyłem w 1932 roku i zaraz potem podjąłem naukę w szkole leśnej.

Zaczynał więc Pan w szczególnym okresie – w kilkanaście lat po jednej wojnie, na kilka przed następną...

Wtedy skutki zaborów i pierwszej wojny światowej ciągle jeszcze były odczuwalne. Nowo odzyskana państwowość trwała przecież dopiero czternaście lat i niemal w każdej dziedzinie życia brakowało wykwalifikowanych pracowników i instytucji. Trzeba było czasu, żeby to wszystko znów zaczęło funkcjonować, tego typu zapóźnień nie da się nadrobić w tak krótkim czasie. Przecież i my dziś, choć jesteśmy już piętnaście lat po zmianie systemu, dopiero dochodzimy do pewnej stabilności, a wciąż jeszcze długa droga przed nami.... Wtedy było podobnie. Państwo polskie nie zdążyło jeszcze okrzepnąć.

W jakiej sytuacji było wówczas leśnictwo?

Większość lasów była w rękach prywatnych, stanowiła własność rodów ziemiańskich czy hrabiowskich, natomiast lasów państwowych było bardzo niewiele. Ich właściwą administrację pod okiem Adama Loreta utworzono dopiero później, w 1924 roku. Wiązało się to z wykształceniem zawodowych leśników, których brakowało, zaczęto więc tworzyć szkoły mające ich wykształcić.

Sam proces kształcenia był podobny do obecnego?

Był podział na szkoły kształcące do pracy w lasach prywatnych i szkoły, które uczyły zawodu leśnika lasów państwowych. W okresie międzywojennym istniały dwie dobrze rozwijające się szkoły leśne z trzyletnim kursem nauczania - Wydział Leśny Państwowej Średniej Szkoły Rolnej w Biokrynicy



(Liceum Krzemienieckie oraz Wydział Leśny w Państwowej Szkole Rolniczo-Leśnej w Żyrowicach k/Słomima. W Łomży działała Państwowa Szkoła Miernicza i Przemysowo-Leśna kształcąca w zakresie przemysłu leśnego i miernictwa. Poza tym istniały również tzw. szkoły dla leśniczych, których celem było kształcenie personelu dla państwowej służby leśnej podległej Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych – odrębnego ministerstwa wówczas nie było – było ich kilka, m.in. w Bolechowie, Białowieży, Cieszynie, Zagórzu i Margoninie. Oczywiście, były też szkoły wyższe w Poznaniu, Krakowie i Warszawie oraz we Lwowie (od 1919 roku w Krakowie utworzono Katedrę Leśnictwa na Studium Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego, którą przekształcono później w Wydział Rolniczo Leśny).

Kończył Pan jedną z tych szkół. Którą?

Państwową Szkołę dla Leśniczych w Cieszynie. To była szkoła czteroletnia przygotowująca leśniczych terenowych i administracyjnych lasów państwowych ukierunkowana przede wszystkim na uczenie zawodu, stąd najwięcej było w niej zajęć praktycznych. Przed przystąpieniem do zajęć teoretycznych każdy z nas musiał odbyć trwający ponad rok staż w wyznaczonym nadleśnictwie. Ja zostałem skierowany do Nadleśnictwa Pomiechówek, gdzie jako stażysta uczestniczyłem zarówno w zajęciach w poszczególnych leśnictwach, jak i w pracach samego nadleśnictwa.

Wojna była już właściwie za progiem, szanse na normalną pracę zawodową malały z miesiąca na miesiąc...

Ukończyłem Szkołę w 1937 roku, a więc na dwa lata przed wybuchem wojny. Kiedy chciałem podjąć pracę, ówczesny kierownik kadr w Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie powiedział mi, że wołałby ze mną nie rozmawiać o zatrudnieniu, zanim nie uporządkuję swoich spraw wojсковych. Postanowiłem wtedy nie tracić czasu czekając aż mnie powołają i sam zgłosiłem się do czynnej służby wojskowej. Zostałem skierowany do Centrum Wyszczolenia Żandarmerii w Grudziądzu, a po ukończeniu szkolenia – do jednostki żandarmerii przy I Pułku Lotniczym na Okęciu w Warszawie. Tam właśnie odbyłem służbę, po ukończeniu której przeniesiono mnie do rezerwy. Mimo, że wojna wisiła już właściwie na włosku, złożyłem podanie do Dyrekcji Lasów Państwowych o zatrudnienie mnie zgodnie z kwalifikacjami i wiosną 1939 roku zostałem skierowany na miesięczny staż do Nadleśnictwa Gidle. Wkrótce potem otrzymałem angaż pracy w Nadleśnictwie Szadek obejmującym tereny pomiędzy Zduńską Wolą, a Łaskiem.

Ta pierwsza praca przyniosła mi nawet pewną stabilizację – zacząłem powoli urządzać dom, myśleć o założeniu własnej rodziny... Wszystko jednak rozleciało się jak domek z kart. Minęło zaledwie kilka miesięcy i ogłoszono powszechną mobilizację, a ja zostałem powołany i skierowany do miejsca przeznaczenia, zgodnie z kartą MOB.

Pamięta Pan atmosferę ostatnich tygodni przed wybuchem wojny?...

Stan nerwowości panował już właściwie od 1938 roku. Sytuacja stawiała się coraz trudniejsza, rosło przekonanie, że Niemcy szykują się do wojny. Po zajęciu Kłajpedy, żądaniach korytarza, wypowiedzeniu przez Niemcy paktu o nieagresji wobec Polski i innych wydarzeniach nikt już chyba nie miał złudzeń, ku czemu to wszystko zmierza. Usiłowano wprawdzie jeszcze coś zrobić, próbowano jakichś porozumień, angielski premier rozmawiał jeszcze z Hitlerem... Ale, niestety, nic to wszystko nie dało. Zapamiętałem płomienną mowę ministra Józefa Becka wygłoszoną w Sejmie 5 maja 1939 roku, w której powiedział, że nie oddamy nawet guzika... A potem wszystko potoczyło się jak lawina i już było wiadomo, że tej wojny nie unikniemy. Polska zaczęła się gwałtownie dozbrajać, na ile to oczywiście było wówczas możliwe, wszystko to jednak było niczym wobec potęgi, jaka szykowała się do ataku... Byli tacy, którzy zdawali sobie sprawę, że idziemy z góry skazani, odwrotu już jednak nie było, bo sytuacja nabrzmiała tak, że pokój można było ocalić tylko wchodząc w porozumienie z Niemcami, a tego Polacy nie chcieli. Pierwszy nabór oficerów i podoficerów na tzw. karty przeprowadzono jeszcze przed powszechną mobilizacją, którą ogłoszono w końcu sierpnia 1939 roku.

Dokąd został Pan skierowany z chwilą ogłoszenia mobilizacji?

Każdy, kto już odbył służbę wojskową, od razu otrzymywał miejsce przeznaczenia, do którego miał się udać. Ja dostałem skierowanie do Modlina, więc na dzień przed wybuchem wojny stawiłem się w Twierdzy Modlin, skąd jednak zostałem skierowany do Warszawy, bo w Modlinie ludzi było pod dostatkiem, a brakowało uzbrojenia. Pojechałem do Warszawy – a tam już bomby, wojna... Wcielono mnie do jednostki stanowiącej obronę Warszawy, trafiłem do żandarmerii na Pradze. Pamiętam, że kwaterowaliśmy w szkole, która znajdowała się przy ulicy Szerokiej, między szpitalem Przemienienia Pańskiego, a kościołem św. Floriana. Naszym zadaniem było pomóc w utrzymaniu jakiegoś ładu i porządku, bo wszędzie wokół była panika. Nic dziwnego – latały samoloty, spadały bomby... Ludzie nie wiedzieli co o tym wszystkim myśleć, jak się w tym wszystkim zachować... Poza tym, wiadano, że działa V kolumna, więc obawiano się szpiegów. Dochodziło do tego, że ludzie zaczęli się nawzajem podejrzewać.

Niemieccy koloniści stanowili wówczas zagrożenie?

Ich w przedwojennej Polsce było wielu, a w miarę rozwoju wydarzeń, stawali się coraz bardziej niebezpieczni. Widziałem, co się działo w Szadku, gdzie pracowałem bezpośrednio przed wybuchem wojny. Tam kolonistów było bardzo dużo, byli ćwiczeni, dozbrajani... Wieczorami nie można było wyjść bezpiecznie na ulicę, bo od razu wszczynali bójki, często zdarzały się pobicia czy poturbowania... Polacy czuli się tam bardzo źle, obawiali wyjścia z domu. Podobna psychoza panowała w Warszawie już po wybuchu wojny, choć tu, ze względu na obecność oddziałów policyjnych i wojskowych

raczej nie było bezpośredniego zagrożenia. Ale napięcie i tak było, i to od szeregu miesięcy. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że Warszawa od pierwszego dnia wojny była bombardowana, a z czasem Niemcy jeszcze te bombardowania nasilili. Robili to zresztą niemal bezkarnie, bo nasze lotnictwo nie mogło stanowić dla nich żadnej przeciwwagi... Ja, jak już wspominałem, tuż przed wojną służyłem przy I Pułku Lotniczym na warszawskim Okęciu, znałem więc typy polskich samolotów i wiedziałem, jaką wartość bojową przedstawiają. Było trochę, może pięćdziesiąt parę, nowoczesnych samolotów bombardujących typu „Łoś”, z czego w samej Warszawie tylko kilkanaście, i to było najwyższe uzbrojenie. Poza tym były jeszcze samoloty pościgowe typu „P-11”. Łącznie było wtedy w Warszawie około dwustu samolotów, z czego część niesprawnych technicznie... Cóż to znaczyło wobec tego, co mieli wtedy Niemcy?!... kiedy tam liczyło się to na tysiące?!...

Dziwiącego września na Warszawę uderzyły siły 4 niemieckiej dywizji pancerniej, broniła się do 27 września... Kiedy Pana jednostkę wycofano ze stolicy?

Ósmego września otrzymaliśmy rozkaz, a dziewiątego lub dziesiątego – opuściliśmy Warszawę. Strasznie wyglądała... Płonąca, cała w ogniu... Patrzyłem za siebie, gdy wychodziliśmy, i ten widok pamiętam do dziś.

Po opuszczeniu Warszawy szliśmy przemieszczając się w kierunku Lublina. Droga trwała dłużej niż zakładaliśmy, tym bardziej, że w Garwolinie zatrzymało nas dowództwo tamtejszej jednostki wojskowej dając rozkaz ponownego zorganizowania rozbitych pod Mławą polskich oddziałów wycofujących się z frontu. Było to bardzo trudne zadanie, ponieważ wszystko, co z wielkim trudem udawało się zorganizować, niemal natychmiast było rozbijane przez lotnictwo niemieckie. Po wyjściu z Garwolina próbowaliśmy przemieszczać się dalej kierując się na Lublin, ale nie było to łatwe, bo sytuacja stale się zmieniała. Kiedy szesnastego września dotarliśmy wreszcie do Fajstawic za Lublinem, jednostki, do której byliśmy skierowani, już nie było.

A potem uderzyli Rosjanie i wszystko się załamało, i to na wszystkich frontach – z jednej i z drugiej strony. Próbowaliśmy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, ale linia demarkacyjna, która tamtędy przechodziła, stale się przesuwiała. Szukaliśmy przejścia, żeby przedostać się do Rumunii – kluczyli, zawracali, znów szli dalej... Ale nie dało się przejść. Kiedy próbowaliśmy przekroczyć linię demarkacyjną, ktoś najprawdopodobniej doniósł o nas Rosjanom, bo zatrzymali nas w Tomaszowie Lubelskim. Najpierw namawiali, żebyśmy zostali i szli z nimi na Berlin, a potem zabrali nas i chcieli wywieźć. Na szczęście udało nam się uciec.

Było dokąd?...

Myślałem początkowo o powrocie do Nadleśnictwa Szadek, gdzie pracowałem, zanim mnie powołano. Wiedziałem jednak, że tam mogło już nie być do czego wracać i to nie tylko ze względu na dużą ilość tamtejszych Niemców, ale także z powodu samej lokalizacji nadleśnictwa, które miało siedzibę w od-

daleniu od miasta i w związku z tym łatwo mogło zostać zniszczone, zagarnięte lub rozkradzione. Udało mi się jakoś nawiązać z nimi kontakt, choć było to wtedy bardzo trudne, i moje obawy potwierdziły się – tam rzeczywiście nie było już po co wracać, bo Niemcy niemal natychmiast zwolnili wszystkich Polaków i zorganizowali własną załogę. Zdecydowałem wtedy, że wrócę do Głinojecka, gdzie zostali moi rodzice, oboje w bardzo podeszłym już wieku. Gdy pod koniec października wróciłem, niemal natychmiast dostałem nakaz pracy w miejscowej cukrowni „Izabelin”, a w niewiele ponad rok później – w 1941 roku – Niemcy wywieźli mnie wraz z około setką innych osób na przymusowe roboty do Prus Wschodnich. Byłem tam pół roku. Potem sprowadzili nas z powrotem, bo potrzebowali ludzi do pracy w cukrowni. Pracę jednak dali nam tak ciężką, że postanowiłem zaryzykować ucieczkę. Wybrałem moment, gdy przeprowadzali rozruch fabryki i tylko dlatego się udało. W innej sytuacji nie miałbym żadnych szans, bo moja ucieczka zostałaaby zauważona a nadzorujący mnie Niemiec i tak by swoje wyegzekwował - nie znalazłby mnie, to zabralby mojego ojca. Ale dzięki zamieszaniu spowodowanemu rozruchem fabryki udało mi się stamtąd uciec. Potem, aż do końca okupacji pracowałem z moim ojcem Antonim i dwudziestoma innymi ludźmi w niemieckiej firmie Landesbauamt Zichenau Brückenbau Kommando, gdzie tworzyliśmy grupę specjalizującą się w budowie mostów drewnianych zorganizowaną w 1942 roku przez mojego ojca.

Wspominał Pan wcześniej, że ojciec Pana był już w podeszłym wieku...

Tak, z tego powodu Niemcy wyrzucili go nawet z cukrowni „Izabelin”, gdzie przez wiele lat prowadził warsztaty stolarskie. Potem jednak, w 1942 roku, firma Landesbauamt Zichenau Brückenbau Kommando poszukiwała kogoś, kto sprawowałby nadzór nad budową, a ponieważ mój ojciec był nie tylko majstrem ciesielskim, ale miał też konieczną do tej pracy wiedzę i doświadczenie, bo przed wojną budował most dla kolejki wąskotorowej na Wkrze w Dziektarzewie, więc go zatrudnili. Wspólnie z ojcem zbudowaliśmy podczas okupacji osiem mostów – po dwa na Sonie w Nowym Mieście i na Wkrze w Głinojecku oraz po jednym na rzece Orzyc w Szelkowie, na Płonce w Gumowie, w Gołyminie, i wreszcie ostatni, na Sonie w Sońsku. Ta praca nas uratowała, pozwoliła przeżyć okupację. Pracowaliśmy zgodnie z za-



Pierwsza obsada Nadleśnictwa Płońsk - rok 1945. W środku W. Murasiewicz. W mundurze pierwszy Nadleśniczy Nadleśnictwa Płońsk Henryk Barbulant.

sadą langsam, langsam, aber gut – wolno, wolno, byle dobrze. Byle przetrwać. I tak doczekaliśmy końca okupacji.

Do leśnictwa wrócił Pan dopiero po wojnie?

Tak, choć nie od razu. Poczynilem wprawdzie zaraz po zakończeniu działań wojennych pewne starania, by powrócić do pracy w lasach państwowych, nieoczekiwanie jednak otrzymałem inną propozycję – moja siostra cioteczna odzyskała swój młyn wodny na Wkrze w Głinojecku przejęty podczas okupacji przez Niemców i zwróciła się do mnie o pomoc w jego uruchomieniu. Zgodziłem się i przez kilka miesięcy tam pracowałem. Udało mi się nawet dość szybko ten młyn uruchomić, ku zadowoleniu okolicznych mieszkańców.

Jak doszło do Pana powrotu do leśnictwa?

Za sprawą mojego przyszłego teścia, Eugeniusza Malechowskiego, który z czasem stał się dla mnie nie tylko teściem, ale także wspierałym kolegą i przyjacielem... Wstąpił któregoś dnia do młyna, zaczęliśmy rozmawiać...

Znaliście się Panowie wcześniej?

Nie. Poznałem go dopiero wtedy. On, proszę pani, nie pochodził stąd. Przyjechał tu z rodziną w marcu lub kwietniu 1945 roku. Nie mieli absolutnie nic, przyjechali właściwie tak, jak stali. Wszystkiego dorabiali się potem i to od najmniejszej rzeczy. Pamiętam, że nawet meble w ich leśniczówce Dziektarzewo – Obory zrobione były z gałęzi brzozowych, bo nic innego nie mieli. Gdy zobaczyłem go wtedy po raz pierwszy ubranego tak trochę po żołniersku, od razu pomyślałem, że to albo zdemobilizowany wojskowy, albo leśnik. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, bo tuż po wojnie brakowało wszystkiego i ludzie ubierali się w to, co było. On wtedy też nie wiedział, że jestem leśnikiem, dowiedział się dopiero w trakcie naszej rozmowy. Podczas tej pierwszej wizyty w młynie powiedział mi, że organizowane są struktury Nadleśnictwa Płońsk. Dopiero później dowiedziałem się, że to on właśnie był jednym z pionierów tego nadleśnictwa, a jednocześnie – organizatorem leśnictwa Dziektarzewo.

Z czasem nasze kontakty stawały się coraz częstsze, a gdy jego teren powiększył się, zaproponował mi powrót do zawodu. Potraktowałem tę propozycję bardzo poważnie, choć przyznam, że z podjęciem decyzji miałem pewien problem, bo wtedy w leśnictwie uposażenia były nędzne, a pensje groszowe i obawiałem się, czy z pensji leśniczego – nieporównywalnie mniejszej od dotychczasowej – zdołam w przyszłości utrzymać rodzinę. Jednocześnie jednak zdawałem sobie sprawę, że z młynem też raczej przyszłości wiązać nie mogę, bo system wprowadzony w Polsce po wojnie dążył do likwidacji wszystkiego, co prywatne. Poza tym, przy podejmowaniu decyzji nie bez znaczenia był też fakt, że w związku z powrotem z Warszawy do Głinojecka mojego starszego brata i przejęciem przez niego opieki nad

rodzicami, zmieniła się moja sytuacja rodzinna. W końcu więc zdecydowałem o powrocie do zawodu, tym bardziej, że i pan Malechowski i ówczesny nadleśniczy Henryk Barbulant byli zdania, iż obejmując obowiązki leśniczego nie muszę przerywać pracy w młynie, bo oba te zajęcia uda się pogodzić. Z czasem okazało się jednak, że nie było to możliwe, bowiem z obu stron rosły wymagania – z jednej powiększał się zakres obowiązków w leśnictwie, z drugiej – zwiększały obowiązki w młynie, gdzie trzeba było prowadzić dokumentację. W pewnym momencie przestałem już dawać sobie z tym radę i wtedy trzeba było się zdecydować. Wybrałem upragnione leśnictwo i w połowie 1945 roku rozpocząłem pracę w leśnictwie Raciąż, które powstało wtedy w ramach Nadleśnictwa Płońsk z nadmiernie rozbudowanego Leśnictwa Dziektarzewo oraz przejętych nowych uroczysk. Braki lokalowe spowodowały, że nowo utworzone leśnictwo swoją pierwszą tymczasową siedzibę miało w Głinojecku.

Pamięta Pan ludzi tworzących wówczas obsadę nadleśnictwa i leśnictw podlegających mu?

Obsadę Nadleśnictwa Płońsk formowali wtedy nadleśniczy Henryk Barbulant, adiunkt Jagielski, sekretarz Maksymilian Guz, kasjer Józef Urbańczyk i pracownicy biurowi – Władysław Sacewicz, Mieczysława Laskowska i Halina Barbulant, a w obsadzie sześciu leśnictw byli: Stefan Borer – leśnictwo Kępa, Antoni Regulski – leśnictwo Kuchary, Roman Sowiński – leśnictwo Miszewo, Franciszek Czernik – leśnictwo Tustań, Roman Mystkowski – leśnictwo Nacpolsk, Eugeniusz Malechowski – leśnictwo Dziektarzewo, moje – leśnictwo Raciąż zostało utworzone nieco później.

Jak duży był obszar podlegający leśnictwu Raciąż?

Objęował lasy położone w większości na terenie powiatu sierpeckiego. Należały do niego uroczyska: Kondrajec Pański i Szlachecki, Dreglin, Lipa I i II, Rachocin Zalesie – Sierakowo, Krzeczanowo, Cyndaty, Koszczywiec, Rybitwy oraz Sałkowo i Zaborowo, które przeszły potem do innego leśnictwa. Były to lasy składające się z przejmowanych po wojnie terenów pomajątkowych, poniemieckich i będących wcześniej własnością większych gospodarzy a w związku z tym niejednorodnych, gdzie dominowały kompleksy małe i rozrzucone. Na moim terenie na przykład rozrzucone były w granicach dwudziestu paru czy trzydziestu kilometrów... Była to więc sytuacja zupełnie inna od tej sprzed wojny, kiedy to kompleksy leśne tworzone z wielkich zwartych terenów leśnych i na dużej powierzchni.

Jak doszło do zmian administracyjnych, które włączyły Pana tereny w obszar zarządzany przez Nadleśnictwo Ciechanów?

Bezpośrednio po wojnie zarówno sama powierzchnia lasów, jak i ich granice zależały głównie od aktywności pracowników na danym terenie. Nadleśnictwo Płońsk miało energicznych pracowników i wykazywało się w tym względzie dużą aktywnością, osiągnęło więc dużą powierzchnię. Początkowo wystarczało tylko jakoś to zorganizować, stworzyć pewne struktury. Dopiero później odpowiedzialni za to

pracownicy lasów państwowych zaczęli formować właściwe obszary stwarzające najlepsze warunki do administrowania. Stąd brały się późniejsze decyzje oddawania jednych powierzchni i przejmowania innych czy też przenoszenia leśników z jednych miejsc w inne. Zmiany granic administracyjnych Nadleśnictwa Płońsk wprowadzono pod koniec 1946 roku. Część lasów będących na terenie powiatu sierpeckiego przeszła wtedy do Nadleśnictwa Sierpc a część do Nadleśnictwa Ciechanów, ja natomiast wraz z dużą częścią byłego leśnictwa Raciąż zostałem włączony w struktury Nadleśnictwa Ciechanów. Do tych terenów dołączono jeszcze kilka kompleksów leśnych z Nadleśnictwa Ciechanów tworząc nowe leśnictwo Luszewo z położoną w lesie osadą pomajątkową.

Wspomnił Pan o przedwojennych dużych kompleksach leśnych. Czy po wojnie straty w drzewostanach były duże?

Nie przypominam sobie, by na naszych terenach występowały one w sposób szczególny, choć pamiętam, że trzeba było na przykład wyciąć mocno zdewastowany działaniami wojennymi drzewostan sosnowy. Bezpośrednio po wojnie nadleśnictwo musiało też wyrazić zgodę na tzw. samowyrąb, bo w czasie działań wojennych zniszczeniu, spaleniu lub uszkodzeniu uległo na tym terenie kilka wsi, których mieszkańcy domagali się surowca do budowy i remontu budynków. Dochodziło nawet do wypadków, mimo iż przy wycinaniu drzew nakazywano nadzwyczajną ostrożność. Nie dało się ich uniknąć, bo potrzeby były duże a drewno stanowiło przecież wówczas nie tylko podstawowy budulec, ale i źródło opału. Poza tym, po wojnie trzeba też było budować prowizoryczne konstrukcje drewniane w miejsce wielu wysadzonych przez Niemców mostów, a ci, którzy je budowali, nie kierowali się względami hodowlanymi, lecz własnymi potrzebami. Z punktu widzenia leśników mogło to robić wrażenie gospodarki rabunkowej, jednak ludzie, którzy takie decyzje podejmowali uważali, że to tylko kwestia potrzeb i czasu. Dyskusji więc żadnej nie było. Mówiono tylko: – Drzewo pasuje?.. To proszę ciąć!...

W jakim stanie były przejmowane drzewostany?

Bardzo różnym. Często były to obszary znacznie przetrzebione. Nadleśnictwa w okresie powojennym masowo zalesiały olbrzymie tereny gruntów porolnych przejętych z zasobów Państwowego Funduszu Ziemi, w efekcie czego w niedługim czasie powstawało dużo tzw. młodników. Był taki czas – trwało to dobrych kilkanaście lat – że niemal każdego roku zalesiałem powierzchnię w granicach siedemdziesięciu do stu hektarów. To było bardzo dużo. W rezultacie, z czasem powstały pokaźne powierzchnie jednolitych drzewostanów, głównie sosnowych, w których w konsekwencji pojawiła się też gruba zwierzyna nie spotykana na tych terenach nie było. Tuż po wojnie było jej najwięcej, szczególnie dzików, których tu przedtem nie było w ogóle, ale także jeleni i łosi, te ostatnie zaczęły się pojawiać dopiero w latach sześćdziesiątych. Dużo było też drobnej zwierzyny – zajęcy, kuropatw... Przyczyną tego zjawiska było właśnie powiększenie się powierzchni leśnej, zalesionej już po wojnie. Ta sytuacja z uwagi

na spłot wielu niekorzystnych czynników zaczęła się zmieniać na niekorzyść i to pomimo wysiłków hodowlanych i wyętej działalności lokalnych Kół Łowieckich.

W czym upatruje Pan przyczynę tych zmian?

Może to była wina zbyt intensywnych polowań w pewnym okresie, może kłusownictwa, może czynników pogodowych... Myślę, że negatywnie na stany zwierzyny wpłynęły wszelkie czynniki choć w różnym stopniu. Zwłaszcza kłusownictwo rozprzestrzeniło się na wielką skalę, sytuację tłumaczyć może zauważalny spadek zamożności społeczeństwa. Bo samo kłusownictwo było zawsze, odkąd istnieją lasy – przed wojną zmagali się z tym gajowi, którzy tropili wnykarzy i kłusowników. Dochodziło nawet do tragicznych wypadków i tzw. krwawych spotkań, gdzie jedni drugich zabijali. Po wojnie natomiast, w latach, gdy była tu jeszcze radziecka armia, zwierzynę niszczyła plaga cichych polowań. Wtedy każdy na własną rękę urządzał sobie takie polowania. Pamiętam, jak nadleśnictwo w Ciechanowie zostało kiedyś zobowiązane do zorganizowania w głównym kompleksie Lekowo polowania dla wysoko postawionych osób partyjnych. W trakcie polowania rozległy się nagle strzały oddawane przez kogoś spoza grona uczestników, co wywołało konsternację i nawet pewien lęk wśród obecnych tam wtedy dygnitarzy i generałów radzieckich. Zaczęto zastanawiać się, co robić, w końcu jeden z radzieckich generałów, gen. Popławski, wraz z grupą innych uczestników polowania zaczął otaczać miejsce, skąd dochodziły strzały. Krąg się zawężał, aż doszło do spotkania. Wtedy okazało się, że strzelającym był jakiś sierżant radziecki, który zorganizował sobie dzikie polowanie i co więcej, mimo wyraźnego rozkazu generała, nie chciał mu się podporządkować argumentując, że on teraz nie jest w wojsku, ale przyszedł dla rozrywki!.. Pamiętam, że długo i bezskutecznie z nim pertraktowano, aż w końcu musiano sprowadzić jakąś jednostkę, by temu zaradzić.

Po wojnie lasy dawały schronienie zbrojnemu podziemiu antykomunistycznemu, działającemu m.in. właśnie w powiecie płońskim i sierpeckim. Czy tak było również na Pana terenie?

Tak, po lasach kryły się uzbrojone grupy partyzanckie, bo nie wszyscy chcieli się podporządkować nowej władzy. Często dochodziło do potyczek, były ofiary – zabici, ranni...

Które tereny były pod tym względem najbardziej niebezpieczne?

Najbardziej aktywne grupy partyzanckie koncentrowały się w lasach w okolicach Raciąża, które tuż po wojnie znajdowały się na moim terenie, m.in. w Sałkowie i Sierakowie. Działały tam ugrupowania dowodzone przez Wiktora Stryjewskiego z Żychowa w gminie Raciąż, znanego m.in. pod pseudonimem „Cacko”....

... uczestnika wojny obronnej 1939 roku, żołnierza ZWZ-AK, NZW i NSZ, dowódcy oddziału Ruchu Oporu Armii Krajowej działającego na terenie Mazowsza, jednego z najbardziej bezkompromisowych

partyzantów walczących z komunistami. UB zdołało go aresztować dopiero w lutym 1948 roku. Został potem przez nich zamordowany w więzieniu na warszawskim Mokotowie w styczniu 1951 roku, uzyskawszy przedtem wyrok aż trzydziestu ośmiu kar śmierci, co nawet jak na stalinowskie sądownictwo było jedną z największych liczb kar śmierci orzeczonych wobec żołnierza podziemia antykomunistycznego.

Wówczas mówiono też, że jedną z podległych mu grup organizował syn miejscowego dziedzica z Sałkowa, który dobrze znał okoliczne lasy.

W jaki sposób dowiedział się Pan o ludziach „z lasu”?

Od mojego ówczesnego gajowego, który chyba z nimi współpracował, bo został potem skazany na osiem lat. W każdym razie nie mógł o nich nie wiedzieć, bo to nie były duże kompleksy leśne, gdzie w sposób nie zauważony mogłoby się ukryć kilkudziesięciu ludzi. Pamiętam, że gdy kiedyś szedłem z nim przez las, mówił mi: – Są!.. – i pokazywał jakieś znaki szczególne, a to gałązkę nadłamaną, a to inną, gdzieś położoną... Od razu się po tych znakach orientowałem!.. Ja sam jednak nigdy go o nic nie pytałem, a wręcz ucinałem te rozmowy. Mówiłem: – Zna pan swoje obowiązki?... To niech pan nie opowiada, tylko robi swoje!...

Bo wówczas na pracowników leśnych nałożono obowiązek meldowania milicji o wszelkich ruchach osób podejrzanych. Wzywano nas na UB do Raciąża i uprzedzano, jakie poniesiemy konsekwencje, jeżeli nie zgłosimy, że coś wiemy o grupach ukrywających się na naszym terenie. UB dobrze wiedziało, że ci ludzie tam są, toczyły się przecież walki, były organizowane pacyfikacje...

Był Pan kiedyś świadkiem takich akcji?

Bezpośrednio nie, ale kiedyś widziałem ślady jednej z nich. Jechałem tego dnia w kierunku Raciąża. Była zima, styczeń albo luty. Wszędzie leżało pełno śniegu. Nagle dostrzegłem na śniegu jakieś plamy. Ponieważ jechałem na rowerze, który był wtedy jedynym środkiem komunikacji, więc zsiadłem z roweru, podszedłem... To były plamy krwi. Jadąc potem dalej, widziałem kolejne, ledwo śniegiem przyprószone. Zajechałem do kompleksu leśnego Sierakowo, gdzie pod samym lasem mieszkał tamtejszy gajowy. Zapukałem, ale nikt się nie odezwał. Chwyciłem za klamkę – było zamknięte. Zdziwiło mnie to, bo pora była bardzo wczesna, nie mogło nikogo nie być. Dopiero, gdy stanąłem przy oknie tak, że można mnie było zobaczyć i rozpoznać, wtedy drzwi się otworzyły i wyszła żona gajowego. Panie leśniczy!... – opowiadała zdenerwowana – Co tu się działo!.. Jaka strzelanina była!.. Okazało się, że tuż obok ich zabudowań grupa ubowców urządziła zasadzkę na partyzantów. Musieli mieć jakieś informacje, bo zasadzili się tam na nich i czekali, aż wyjdą. A potem doszło do walk. Polała się krew, kilka osób zginęło, kilka było rannych... Uprzątnęli jednak teren tak szybko, że gdy ja tam przyjechałem, poza plamami krwi, których śnieg nie zdążył jeszcze przysypać, żadnego innego śladu już nie było.

Takie akcje zdarzały się często?

Tak, było ich więcej. Partyzantów można było zresztą spotkać nie tylko w lesie. Także poza lasem. Byłem kiedyś świadkiem, jak przyszli do cukrowni w Głinojecku i zażądali otwarcia kasy, kiedy indziej widziałem, jak wynieśli ze sklepu w Głinojecku towary i rozdawali je ludziom... Spotkałem ich też kiedyś w leśniczówce w Dziektarzewie, dokąd wybrałem się, żeby odwiedzić moją narzeczoną, córkę leśniczego Malechowskiego.

Przyszędłem tam któregoś dnia wieczorem. W domu zastałem wszystkie mieszkające tam panie, nie zastałem natomiast samego gospodarza, który wyjechał do nadleśnictwa w Płońsku. Czekając na niego, długo rozmawialiśmy, aż w końcu zrobiło się tak późno, że część pań poszła spać. Żona pana leśniczego Malechowskiego, moja narzeczona i ja postanowiliśmy jednak na niego zaczekać. I wtedy do leśniczówki przyszło dwóch uzbrojonych ludzi. Wyglądali tak charakterystycznie – niby w cywilu, ale z jakimś wojskowym szczegółem garderoby – czapka wojskowa, karabin... W pierwszej chwili nie wiedziałem, czy to UB czy partyzantka. Na mój widok zawołali: – Stój!.. Ręce do góry!.., więc podniosłem ręce, ale jednocześnie powiedziałem: Gdybym miał jakiś zły zamiar, za późno by było mówić o podnoszeniu rąk. Wtedy rzucili się do mnie: – Niechby nam się tylko coś stało!.. Jest nas wystarczająco dużo, żeby się rozprawić!... Zaczęli potem ustalać moją tożsamość, w końcu jednak – na podstawie swojej wiedzy i moich wyjaśnień – doszli do wniosku, że nie mają do mnie żadnych zastrzeżeń i dali mi spokój. Początkowo chcieli jeszcze spotkać się z leśniczym, ale zrezygnowali i opuścili leśniczówkę. A następnego dnia rano dowiedzieliśmy się, że tej nocy wykonywali wyroki stosując chłosty, bicia, zmuszając niektórych członków PPR do zjedzenia ich legitymacji partyjnych....

Wspomniał Pan wcześniej o wyroku na gajowego. O co go oskarżono?

O niewypełnienie obowiązków, jakie zostały na niego nałożone jako na gajowego. Chodziło o to, że nie doniósł o obecności partyzantów na swoim terenie. To było w 1946 albo 47 roku. Wykryli wtedy całą grupę, pamiętam, że wśród aresztowanych był też ówczesny wójt Raciąża, nazywał się bodajże Wojewódzki. Dawano wówczas wyroki po dziesięć, dwanaście lat. Najwyższe były za udzielanie pomocy. Zasądzano je tym, którzy pozwalali ludziom z lasu przenocować w swojej stodole lub oborze, albo – żywili – dzielili się chlebem czy mlekiem... A gajowy dostał wtedy osiem lat i całe osiem lat odsiedział!..

Spotkałem go po tych ośmiu latach. Powiedział mi, że ci z UB nie wierzyli, że jako leśniczy nic o partyzantach nie wiedziałem. Że ciągle go o mnie pytali - i na rozprawie, i na przesłuchaniach. Gdyby wtedy powiedział, że kiedyś ze mną o nich rozmawiał, od razu by mnie zamknęli. Ale on zachował się bardzo przyzwoicie – bronił mnie, nikogo nie wsypał. Po wyjściu z więzienia nigdy już nie wrócił do pracy w leśnictwie. Dostał zakaz. Dziś już nie żyje. Pamiętam, że po tym, jak go zamknęli, zaproponowałem, by na jego miejsce zatrudnić jego starszego syna, bo tam była bieda i ktoś musiał tej rodzinie zapewnić

utrzymanie. Nadleśnictwo się zgodziło i ten mniej więcej dwudziestoletni chłopak przejął po ojcu obowiązki gajowego. Nie obróciło się to jednak dla niego na dobre.

Dlaczego?

Wtedy na zatrudnienie nie wystarczała zgoda nadleśnictwa. Zgodę musiało też wyrazić UB. To były takie czasy. A ci z UB nigdy nie zgadzali się bezinteresownie. Nic więc dziwnego, że gdy tym razem się zgodzili, zaczęto podejrzewać – może nie za darmo?... może postawili jakiś warunek?... Tym bardziej, że te tereny były dla nich szczególnie trudne!... Tam przecież od dwóch czy trzech lat operowała grupa partyzancka, której dotąd nie udało im się zniszczyć, i to grupa bardzo aktywna, prowadząca z nimi ciągłą walkę... Partyzanci zaczęli więc podejrzewać tego młodego człowieka, że wykonuje swoje obowiązki zgodnie ze wskazaniem UB, że zgodził się ujawnić ich grupę, jeśli na nią trafi... I pewnej nocy przyszli wykonać na nim „wyrok” za „nadgorliwe wykonywanie obowiązków” – najpierw mu go odczytali, a potem pobili tak, że trzeba było do niego wzywać pogotowie. Mnie o wszystkim powiadomiono drogą służbową. Dowiedziałem się, gdy już został odwieziony do szpitala w Sierpcu. Leżał tam trzy tygodnie.

Czy takie wyroki były częste?

Trwało to przez pewien czas. O ile dobrze pamiętam, na tych terenach takie przypadki najczęstsze były zaraz po wojnie a potem w czasie tzw. utrwalania władzy ludowej. Partyzanci mieli doskonałe rozeznanie, wiedzieli, kto do jakiej partii należy. Przychodzili potem do takiego człowieka i albo kazali mu zjeść tę legitymację partyjną albo złożyć jakieś przyrzeczenia...

Z jednej strony uzbrojone grupy po lasach, z drugiej – aparat Urzędu Bezpieczeństwa... Funkcjonowanie w takich warunkach musiało być trudne..

Zagrożenia były wtedy nie tylko ze strony ludzi. Przecież na tych terenach – szczególnie w uroczysku Zalesie-Sierakowo – pełno było niewypałów, pocisków artyleryjskich i przeciwlotniczych, nie do końca rozminowanych bomb... Uprzątanie zalegających tam stosów amunicji i niewypałów trwało wiele lat, mimo, iż prace te wykonywały specjalne jednostki wojskowe. Do tego dochodziły jeszcze zagrożenia, o których wspomniano. Musiało więc być trudno. Pamiętam, że kiedyś nawet zaproponowano mi karabin, ale odmówiłem. Powiedziałem: „ – A po co mi karabin, kiedy ja do żadnej partii nie należę?... Co ja z tym karabinem będę robił?... Bronił się?... A jaka to obrona?... Żadna!... Co mi pomoże karabin, gdy będę sam i otoczy mnie kilkadziesiąt osób?!...” Nie chciałem broni. Bo broń bardziej prowokowała, niż broniła. Może zresztą nie doceniałem wtedy zagrożenia, nie do końca zdawałem sobie sprawę, co może mnie spotkać.

Poza tym, człowiek nie bał się tych, którzy byli z prawej strony!.. Oni nie atakowali, jeśli nie wykroczyło się poza pewne ramy!.. Gorzej, jeśli się należało do partii albo współpracowało z UB czy milicją... A przecież władza ludowa także pomiędzy bezpartyjnymi starała się znaleźć takich, którzy skłanialiby się do

współpracy. Człowiek musiał więc ustawicznie się pilnować – z jednej strony uczciwie wykonywać swoje obowiązki, z drugiej – być czujnym. Bo nie sposób było przewidzieć, jaka sytuacja może się zdarzyć.

Czy to znaczy, że na leśników wywierano presję?

Były takie sytuacje. Pamiętam, jak kiedyś sekretarz komitetu partii zażyczył sobie, żeby wszyscy leśnicy zostali członkami partii. Przyjechalśmy na jedną ze stałych sesji w Nadleśnictwie Ciechanów, a nadleśniczy Tadeusz Sobolewski zaczął ją od oznajmienia: – Proszę panów, sekretarz partii zażyczył sobie, żebyście się dzisiaj zadeklarowali. Bezwzględnie dzisiaj. Musicie się tu i teraz zdecydować – zapisujecie się do partii, czy nie. Tak, albo tak. Macie na to godzinę czasu. Rozdał nam deklaracje, zamknął w pokoju, i wyszedł. A nas, leśniczych, którzy nie należeliśmy do partii, było wtedy może pięciu, sześciu. I musieliśmy podjąć decyzję. Nikt się wtedy do nikogo słowem nie odezwał, choć przecież drzwi były zamknięte... Nikt się nikogo nie radził, nie zwierzał, nie mówił, co zrobić... Dopiero wychodząc oddawaliśmy te deklaracje, a nadleśniczy od razu je czytał. Mnie zapytał, dlaczego się nie zapisałem. Tylko mnie. Więc może tylko ja wtedy tej deklaracji nie podpisałem? Nie wiem. Wiem jednak, że jeśli nie wszyscy, to większość je wtedy podpisała. Odpowiedziałem mu, że dotąd nie należałem do żadnej partii i nadal nie zamierzam należeć, obojętnie, jakie będą tego dla mnie następstwa.... Ale nadleśniczy żadnych nacisków nie wywierał. Kazali mu to zrobić, więc zrobił, ale nic więcej.

Pamiętam też pewną naradę w Warszawie w latach czterdziestych, na którą przyjechał ówczesny wicepremier o nazwisku Chęłchowski. Mówił o środowisku leśników, jakby to była jakaś czarna reakcja, a o przedwojennych właścicielach lasów, że byli „aparatem ucisku”... I wbijał nam w głowy, że „lasy są zielone, ale muszą być czerwone”, czyli że my musimy podporządkować się obecnym czasom.

To było coś w rodzaju propagandowego szkolenia?

Trzeba wiedzieć, że dla nich leśnicy wykształceni przed 1939 rokiem byli co najmniej podejrzani! Po ostatniej wojnie niewiele już przecież zostało przedwojennej inteligencji a leśnicy niewątpliwie do niej należeli. W dodatku ja nie byłem partyjny, a co więcej – służyłem przed wojną w żandarmerii, którą oni nazywali „aparatem ucisku”!... Może właśnie dlatego nigdy w tamtych czasach nie dostawałem odznaczeń państwowych, choć typowano mnie do nich wielokrotnie i wiele lat w zawodzie przepracowałem. Nadleśnictwo mnie typowało, a komitet partii, który wtedy miał decydujący głos – odrzucał. Złoty Krzyż Zasługi dostałem dopiero w 1983 roku, już po przejściu na emeryturę.

Wróćmy jeszcze do lat wcześniejszych. Wspominał Pan o trudnej sytuacji bytowej leśników. Jak to wyglądało z chwilą, gdy założył Pan własną rodzinę?

Ożeniłem się w 1946 roku z Marią z Malechowskich, córką leśniczego leśnictwa Dziektarzewo pana Eugeniusza Malechowskiego. Ślub odbył się 23 czerwca w kościele parafialnym w Dziektarzewie, a przy-

jęcie weselne zorganizowaliśmy na wolnym powietrzu, między dębami i sosnami rosnącymi wokół leśniczówki Dzikarzewo-Obory. Dziś te drzewa to już pomniki przyrody. Po ślubie zamieszkaliśmy z żoną w wynajętym przez nadleśnictwo domku w Glinojeku, w którym podczas okupacji mieszkali moi rodzice. Mieszkaliśmy tam jednak tylko do utworzenia w grudniu 1946 roku leśnictwa państwowego Luszewo. Wtedy się przeprowadziliśmy.

Początki nie były łatwe. Pensje leśników, jak mówiłem, były groszowe, bo w tamtych czasach uważano, że leśnicy i gajowi mogą godzić swoje obowiązki z prowadzeniem deputatu rolnego i z tego utrzymywać rodzinę. Wychodzono z założenia, że gospodarstwem może zajmować się żona, a mąż – gdy mu na to obowiązki pozwolą – może jej w tym pomagać. Chcąc więc utrzymać dom na pewnym poziomie, trzeba było poza pracą zawodową, prowadzić także gospodarstwo. Tak się jednak złożyło, że ani żona ani ja nie mieliśmy żadnego pojęcia o tych sprawach!... Żadne z nas nie pochodziło z rodziny rolniczej!.. Było więc trudno, ale ponieważ innego wyjścia nie było, trzeba było to robić. Pamiętam, że przyjeżdżałem z lasu i zamiast odpocząć, zabierałem się do następnej pracy, bo krowa ryczała, świnia kwiczała, nie można było nie zająć się gospodarstwem...

Dawało się to godzić?

Z trudem. Myślę, że leśniczy miał dawniej bez porównania więcej obowiązków niż dziś. Znacznie większe były też wtedy trudności w przemieszczaniu się, zwłaszcza, że i powierzchnia leśnictw nam podlegających była większa.

Jaka mogła być wówczas maksymalna powierzchnia lasów podlegających Panu?

Był okres, kiedy podlegało mi około trzech tysięcy hektarów lasów państwowych i niepaństwowych łącznie. I choć na szczęście, nie zawsze tak było, to jednak dobrze pamiętam, ile trudu wymagało wówczas pokonywanie tych odległości!.. Przyjeżdżał do mnie służbowo na wizytacje kompleksów leśnych nadleśniczy Henryk Barbulant i jechał na rowerze kilkadziesiąt kilometrów, żeby być u mnie w Glinojeku o ósmej rano!.. Potem chwilę tylko odpoczął, coś zjadł, i natychmiast ruszaliśmy w teren, gdzie wizytacje i sprawy przewidziane programem wizyty zajmowały na ogół około dziesięciu godzin. Do Glinojeka wracaliśmy więc już o zmroku, kiedy jednak proponowaliśmy mu przenocowanie, odpowiadał gwałtownie, że bezwzględnie wraca do domu, bo nie wie, co z rodziną. Powiadomić jej przecież nie mógł, bo wieczorem poczta była zamknięta. Zjadał więc tylko szybko jakiś późny obiad i ruszał w powrotną drogę do Płońska. Miał wtedy ponad pięćdziesiąt lat, więc to był naprawdę duży wysiłek.

Tych niedogodności było znacznie więcej, nie tylko brak telefonów, który utrudniał utrzymywanie kontaktów między leśnictwem, a nadleśnictwem, ale także rodząca się już wtedy biurokracja, która wymagała różnego rodzaju sprawozdań i meldunków z pracy w leśnictwie. Dużym utrudnieniem był też brak światła elektrycznego. Najgorszy był jednak ogrom obowiązków, jakie do nas wtedy należały.

Czym one różniły się od obecnych?

Dawniej obowiązków było nieporównanie więcej, niż dziś, bo zakres pracy leśniczych był po wojnie znacznie szerszy niż obecnie. Wtedy leśniczowie musieli sami dokumentować defraudacje i kradzieże drewna od momentu wykrycia sprawców, sporządzać protokoły przesłuchań, wystawiać pozwy do Sądu, często też wnosić oskarżenie albo być świadkami, podczas gdy dziś tymi sprawami zajmuje się Straż Leśna. Sami musieli też nadzorować konieczne inwestycje, sporządzać zgodnie z obowiązującymi w budownictwie wymogami stosowne dokumenty, przeprowadzać nabór i utrzymywać własną brygadę roboczą oraz dbać o nią, łącznie z naliczaniem jej zarobków i przygotowywaniem wypłaty. Dziś tym wszystkim zajmuje się biuro danego nadleśnictwa bądź też na zlecenie nadleśnictwa robią to specjalistyczne firmy usługowe.

Uciążliwe były również odszkodowania dla rolników za szkody wyrządzone przez zwierzęnę, bowiem to leśniczy sporządzał protokoły i odpowiadał za terminowe załatwianie odszkodowań. Nikogo nie obchodziło, że ma inne prace terminowe, bo z jednej strony natychmiast podnosili krzyk gospodarze, z drugiej - za nieterminowe załatwienie szkód groziły nagany. Tymczasem opracowanie takiej dokumentacji zabierało dużo czasu, bo zasięg i rozrzut kompleksów leśnych był duży – ja na przykład miałem w pewnym okresie około dwudziestu trzech wsi!.. Proszę sobie wyobrazić, jaki to rozrzut, gdy jedna wieś od drugiej oddalona jest o około kilka kilometrów!... A przecież wszędzie trzeba było dojechać i np. oszacować szkodę. Zdarzało się, że jeździło się około pięćdziesięciu kilometrów w jedną stronę... Dziś obowiązek ten nie ciąży już na leśniczych, bo szkody szacują upoważnione osoby w Kotłach Łowieckich.

Dużym obciążeniem był też nadzór nad lasami niepaństwowymi. Wtedy nie było przecież jeszcze żadnej dokumentacji, a my musieliśmy mieć jakąś orientację co do stanu tych lasów w stosunku do lasów państwowych. Musiał być sporządzony jakiś prowizoryczny plan urządzenia lasu, by móc stworzyć podstawy planowej gospodarki leśnej i zacząć ją prowadzić – odnawiać, zalesiać, pielegnować, decydować o miejscach wyrębu... A jak to przeprowadzić bez znajomości terenu, bez dokumentacji?...

Pierwsze plany, opisy, mapy robiliśmy więc sami, pomagając sobie kątomierzem i ekierką, a zamiast taśmy do pomiarów używając kawałka drutu. Podobne sytuacje miały miejsce we wszystkich nadleśnictwach. Muszę przyznać, że efekty tych naszych poczynań dały nadspodziewanie dobre rezultaty. Także dlatego, że my wtedy mieliśmy ogromny zapał do pracy!... Nikt nie myślał o sprawach materialnych, staraliśmy się tylko jakoś wiązać koniec z końcem.

Jak to wyglądało w praktyce?

Człowiek cieszył się niezmiernie z każdego drobiazgu!.. Że jednak coś jest!.. Najbardziej dokuczał nam brak elektryczności, bo oboje z żoną od dzieciństwa byliśmy do tego dobrodziejstwa przyzwyczajeni, tymczasem lampa elektryczna zabłyśła u nas dopiero w 1964 roku. Dla nas moment, kiedy doprowadzono do nas elektryczność był prawdziwym przełomem!.. Wreszcie rozwiązał się problem łączności ze światem! Wcześniej tego kontaktu nie było, bieżące wiadomości nie docierały. Dopiero wtedy można

było włączyć radio bez kłopotliwych akumulatorów i baterii anodowych, które nie gwarantowały połączenia z jakimś dalszym zasięgiem... Można było uruchomić telewizor... To była zupełnie inna epoka, niż ta, w jakiej dziś żyjemy! Drugim ważnym momentem było doprowadzenie wody bieżącej. Po dwudziestu latach zbliżyliśmy się wreszcie do świata bardziej cywilizowanego.

Wiem, że pomimo tych wszystkich niedogodności i obciążeń, kontakty środowiskowe były częste, i co więcej – autentyczne...

To prawda. Spotkania były nie tylko bardzo częste, ale i długotrwałe, bo trwające latami. Organizowaliśmy je kolejno w różnych leśnictwach.

Ze szczególnym rozrzewnieniem wspominam dziś te spotkania braci leśnej... Bo to były chwile prawdziwej radości w tej ciężkiej pracy!.. To były spotkania niemal rodzinne, wszyscy byli do siebie nastawieni przyjaźnie, serdecznie, życzliwie. Przyjeżdżały całe rodziny leśniczych i rodziny pracowników nadleśnictwa... To była nie tylko zabawa, ale także okazja do wymiany poglądów, opowieści o najrozmaitszych zdarzeniach. Inne były opowieści pań, inne panów. Nasze żony rozmawiały o dzieciach, mężach, modach, dzieliły się wiedzą kulinarną, my natomiast toczyliśmy długie rozmowy dotyczące zawodu, gospodarstwa, doświadczeń... Tylko polityki raczej unikaliśmy. To był wówczas dość niebezpieczny temat, więc nikt nie przejawiał nim większego zainteresowania. Bardzo dobre i serdeczne stosunki utrzymywaliśmy z sąsiadami z Nadleśnictwa Płońsk, które – jak już wspominałem – wywodziły się jeszcze z krótkiego okresu mojej pracy w tym nadleśnictwie. Po moim wyjeździe głównym łącznikiem do podtrzymywania tych przyjaźni stał się mój teść, Eugeniusz Malechowski, który po wielu latach pracy w charakterze leśniczego leśnictwa Dziektarzewo przeszedł do pracy w Płońsku jako kierownik Referatu Leśnictwa Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Gdy ja pracowałem już w Nadleśnictwie Ciechanów, on nadal był w Płońsku i stał się właściwie najważniejszą osobą, pomiędzy nami, a dawnymi znajomymi. To z jego inicjatywy dochodziło do wielu spotkań przy różnych okolicznościach – imieninach, rocznicach... Było to bardzo dobre, bo choć generalnie wszyscy się znaliśmy, to do bliższych, bardziej rodzinnych spotkań, dochodziło dopiero dzięki takim właśnie specjalnym okolicznościom i zdarzeniom. Jak już wspominałem, spotkania te miały charakter cykliczny - raz w tym leśnictwie, kiedy indziej – w innym. Tak było do momentu, kiedy któryś z leśniczych kupił pierwszy samochód. Później ten zwyczaj zaczął już zanikać, spotkania przestawały się odbywać. Jedni umierali, inni inaczej organizowali sobie czas, po starych następowali młodzi...

... dokonywała się pokoleniowa zmiana warty. A jeśli tak, to czy mógłby Pan przypomnieć nam tamto pokolenie leśniczych Nadleśnictwa Płońsk, którego tak wielu przedstawicieli już przecież od nas odeszło?... Tych, z którymi stykał się Pan na gruncie zawodowym i towarzyskim przez 45 lat swojej pracy w leśnictwie?..

Było ich wielu, trudno w jednej rozmowie przypomnieć wszystkich, spróbuję jednak przybliżyć sylwetki tych kolegów, którzy jako pierwsi podjęli pracę w Nadleśnictwie Płońsk.

Zacznę od inż. Stefana Borera, którego poznałem już w roku 1932, kiedy pracował jako leśniczy le-

śnictwa Kępa należącego wówczas do Nadleśnictwa Pomiechówek. Miał wtedy dopiero trzydzieści lat i był człowiekiem bardzo życzliwym, towarzyskim, tryskającym humorem. Pochodził z Pułtuszka, jego ojciec miał tam duży zakład wytwarzający pojazdy do zaprzęgu konnego, głównie na potrzeby osób dość zamożnych. Sam Stefan Borer zresztą także był posiadaczem jednego z nich - czarnego powozu do zaprzęgu dwukonnego, otrzymanego w prezencie od ojca. To było jeszcze przed wojną. Potem wybuchła wojna i nasze drogi rozeszły się, wiem jednak, że podczas okupacji był aresztowany i więziony w lochach Fortu III w Pomiechówku. Jego dalszych losów okupacyjnych nie znam. Ponownie spotkał się już w Płońsku, bowiem zaraz po zakończeniu działań wojennych przystąpił do pracy w „swoim” leśnictwie pomagając jednocześnie przy organizowaniu nowego Nadleśnictwa Płońsk. Kilka lat później, po odejściu nadleśniczego inż. Lucjana Czeczotta, objął po nim to stanowisko. Niestety, zmarł przedwcześnie (21 marca 1958 r.).

Dość wcześnie poznałem też innego z moich kolegów, Romana Mystkowskiego z leśnictwa Nacpolsk, z którym razem kończyliśmy Państwową Szkołę dla Leśniczych w Cieszylinie. Życie jednak tak nam się układało, że nie mieliśmy ze sobą bliższych kontaktów, niewiele więc mogę o nim powiedzieć. Wiem tylko, że był osobą zaradną w życiu i dość dużo uwagi poświęcał swoim sprawom osobistym. Po kilku latach przeszedł na inny teren.

Znacznie lepiej znałem natomiast Antoniego Regulskiego z leśnictwa Kuchary. Był leśniczym o dłuższym stażu. Wywodził się z Nadleśnictwa Pułtusk, z rodziny o dużych tradycjach rodowych leśników. Wszyscy czterej bracia byli leśniczymi, znałem każdego z nich osobiście. On sam pracował w Nadleśnictwie Płońsk, jeden z jego braci, Zbigniew, był leśniczym lasów niepaństwowych w Nadleśnictwie Ciechanów, a drugi, Klemens – najpierw leśniczym, a potem pracownikiem nowo powstałego Rejonu Lasów Państwowych w Przasnyszu, skąd po kilku latach został przeniesiony do Rejonu LP w Płocku z siedzibą w Górach. Pamiętam, że przez cały okres swej nowej pracy codziennie – bez względu na pogodę i porę roku – dojeżdżał z Przasnysza do Płocka pokonując motocyklem dziennie ok. 220 kilometrów. Dość często spotykałem go przejeżdżającego przez teren mojego leśnictwa, mogę więc to potwierdzić z całą pewnością, a jeśli wspominam dziś ten fakt, to dlatego, że mówi on wiele o jego samozaparciu i odpowiedzialności. Najstarszy natomiast z braci Regulskich, którego imienia nie pamiętam, był naczelnikiem zbytu drewna tartaczno w warszawskiej firmie PAGED.

Z rodziny bardzo związanej z leśnictwem pochodził też Kazimierz Sosnowski z leśnictwa Nacpolsk. Jego starszy brat Franciszek pracował przed wojną w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu zajmując stanowisko kierownicze, po wojnie natomiast podjął pracę najpierw w Dyrekcji Lasów Państwowych w Siedlcach, a następnie w Rejonie LP w Przasnyszu jako naczelnik referatu zagospodarowania lasu, stając się tym samym moim późniejszym zwierzchnikiem. Znaną osobistością w środowisku leśniczych był też jego szwagier, pan Flanczewski, były dyrektor Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Siedlcach. Najmłodszym natomiast w tej rodzinie leśników był zięć pana Franciszka Sosnowskiego a mój dobry znajomy, Zygmunt Pawłowski, wieloletni nadleśniczy Nadleśnictwa Pułtusk.

Sam Kazimierz Sosnowski przeniósł się z czasem na własną prośbę do leśnictwa Dziektarzewo. Szukał zapewne w ten sposób zapomnienia po osobistej tragedii, jaką przeżył – śmierci ukochanej

żony. Sprowadzając się do Dziektarzewa stał się tym samym naszym bezpośrednim i bliskim sąsiadem, bo dzieliły nas zaledwie cztery kilometry. Wiedząc o jego tragedii, oboje z żoną staraliśmy się mu pomóc w odzyskaniu równowagi i złagodzeniu żalu – odwiedzaliśmy go w Dziektarzewie, zapraszali do siebie... W kilka lat później przeszedł na emeryturę i wyprowadził się do dzieci. Zapamiętałem go jako człowieka bardzo serdecznego, miłego, delikatnego i taktownego.

Z rodziny związanej z lasami pochodził także inny z moich kolegów z Nadleśnictwa Płońsk, Wincenty Pyszniewski. Ojciec jego pracował jako gajowy w lasach hrabiego Krasińskiego, a wszyscy trzej synowie dorastając przysposabiali się do pracy w lesie – pomagali ojcu, czasami nawet wyręczali go. Ktoregoś dnia jednak doszło do tragedii – zabito w lesie człowieka, prawdopodobnie kłusownika, a o jego śmierć zaczęto wkrótce obwiniać jednego z synów gajowego, podejrzewając, że mógł być jej sprawcą. Na efekty nie trzeba było długo czekać – kłusownicy w odwecie zastrzelili tego młodego człowieka. Wiem, że po tej tragedii pozostali dwaj braci podjęli pracę w tartakach należących do hrabiego Krasińskiego – Stefan w Ościstowie, a Wincenty w Rzach, po wojnie natomiast obaj pracowali jako leśnicowie – Stefan w Nadleśnictwie Ciechanów, a Wincenty w Nadleśnictwie Płońsk. Wincenty, o ile mi wiadomo, był bardzo dobrym pracownikiem, i szczęśliwie doczekał emerytury, na którą przeszedł w 1972 roku.

Spośród moich kolegów z tamtych lat pamiętam też Wiktora Brzezińskiego z leśnictwa Dziektarzewo, Stanisława Kowalczyka, Romana Sowińskiego z leśnictwa Miszewo, Stanisława Radziłowskiego z leśnictwa Kępa, kolegę Franciszka Czernika z leśnictwa Tustań, oraz Władysława Sacewicza.

Ich również proszę nam przypomnieć...

Wiktor Brzeziński był w leśnictwie Dziektarzewo następcą mojego teścia, Eugeniusza Malechowskiego. Był taki okres w latach pięćdziesiątych, że z Ludowego Wojska Polskiego zwolniono grupę oficerów i podoficerów, o ile pamiętam, chodziło wówczas o jakiś gest w stronę Zachodu w związku z toczącą się wtedy „zimną wojną”. Zwolnionych ze służby wojskowych szkolono i przysposabiano do innych zawodów. Wiktor Brzeziński jako zawodowy oficer WP znalazł się w tej grupie i również został wtedy przeszkolony i przysposobiony do zawodu leśniczego. Jego pierwszym leśnictwem były Kiełki, potem Dziektarzewo. Ja poznałem go za sprawą mojego teścia, a nasze stosunki koleżeńskie i towarzyskie układały się dobrze i trwały przez kilka lat. Los jednak nie był dla niego łaskawy – zmarł po krótkiej ale ciężkiej chorobie. Wiadomo mi, że potem jego żona wraz z córką wyjechały do USA.

Moim kolegą z tamtych lat był też Roman Sowiński z leśnictwa Miszewo, nie miałem z nim jednak bliższych kontaktów, z wyjątkiem służbowych. Ogólnie mogę powiedzieć, że był osobą pozytywną i posiadał łatwość wypowiadania swoich poglądów na daną sprawę. Pamiętam też kolegę Stanisława Radziłowskiego z leśnictwa Kępa. Zналиśmy się bardzo dobrze, ale raczej bardziej służbowo, niż prywatnie za przyczyną naszych Pań, które w dostateczny sposób nie mogły się zrozumieć z uwagi na różnicę wieku.

Stanisław Kowalczyk z kolei był leśniczym lasów niepaństwowych. Utrzymywaliśmy z nim bardzo dobre, niemal rodzinne stosunki, które datowały się od czasów mojej pracy w Nadleśnictwie Ciecha-

nów, kiedy to przez kilka lat byliśmy sąsiadami. Potem, w końcu lat pięćdziesiątych, przeniósł się za namową mojego teścia, do Płońska, gdzie najpierw został kierownikiem referatu leśnictwa w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, a po kilku latach przeszedł na stanowisko leśniczego lasów niepaństwowych. Do końca życia pana Kowalczyka i jego żony żyliśmy z nimi w dużej przyjaźni..

Bardzo sympatycznym i dobrym kolegą, a zarazem dobrym fachowcem był kolega Franciszek Czerwik z leśnictwa Tustań, bliższych szczegółów o jego losach jednak nie znam, bo po paru latach pracy w leśnictwie przeszedł na inne stanowisko – został kierownikiem składnicy drewna w Płocku. O Władysławie Sacewiczu powiem również niewiele. Do roku 1950 był Sekretarzem tartaku w Nadleśnictwie. Później został leśniczym leśnictwa Żurawin, a od 1973 roku do chwili przejścia na emeryturę pełnił funkcję kierownika składu drewna w Płońsku.

Spotkaliście się w 60 roku istnienia Nadleśnictwa Płońsk, a więc w czasie jubileuszu wszystkich jego pracowników. Czy mógłby Pan w związku z tym przywołać raz jeszcze jego pierwszych, a więc już historycznych, nadleśniczych?

Pamiętam wszystkich kolejnych nadleśniczych Nadleśnictwa Płońsk – Henryka Barbulanta, Lucjana Czczotta, Stefana Borera, Józefa Zyśka i Stefana Kłosiewicza. Pamiętam każdego z nich.

Pierwszy nadleśniczy Nadleśnictwa Płońsk, pan Henryk Barbulant, był bardzo ciekawą postacią – dobry fachowiec i organizator, człowiek kulturalny, ale jednocześnie stanowczy – potrafił zdyscyplinować załogę, miał u niej posłuch. Bardzo go szanowałem. Wspominałem już wcześniej, jak pokonywał na rowerze wiele kilometrów wizytując kompleksy leśne na moim terenie. Bywało też często, że to my spotykaliśmy się u niego na sesjach, by omawiać różne sprawy zawodowe. Pamiętam, że pani nadleśniczyna częstowała nas wtedy obiadem, a kiedy próbowaliśmy odmawiać nie chcąc sprawiać jej dodatkowego kłopotu, odpowiadała zdecydowanie: „Przejechaliście tyle kilometrów na rowerach i czeka was jeszcze powrót, więc zupa was wzmocni.” Pan Barbulant był jednak dość krótko nadleśniczym, bo choć zaczął pracę na tym stanowisku w styczniu 1945 roku, to już wkrótce, w listopadzie roku 1946, powołano go na wyższe stanowisko w Dyrekcji Lasów Państwowych, bodajże w Łodzi. Nawet wtedy jednak przyjeżdżał mnie odwiedzić, gdy był w pobliżu.

Po panu Barbulancie, w listopadzie 1946 roku, stanowisko nadleśniczego Nadleśnictwa Płońsk objął (wcześniej Nadleśniczy Nadleśnictwa Seborgi) pan Lucjan Czczott, który pełnił tę funkcję do czerwca roku 1950 roku (od maja 1949 r. delegowany do Biura Planowania i Organizacji RLP Okręgu Warszawskiego w Siedlcach). Z Płońska przeszedł na stanowisko Inspektora ds. Ochrony Lasu do pracy w RLP w Siedlcach. To był postawny mężczyzna, pozornie dość zamknięty w sobie, choć jednocześnie towarzyski. Pamiętam, że odwiedzał mnie ilekroć wizytował pobliskie lasy chwając przy tych okazjach domową wiśniówkę, którą go częstowałem. W sprawach zawodowych i wobec załogi był zawsze bardzo wymagający. Ja poznałem go późną jesienią 1946 roku, gdy pełnił już funkcję nadleśniczego, jednak mój teść, Eugeniusz Malechowski, znał go bardzo dobrze jeszcze z lat przedwojennych, ponieważ studiowali razem na SGGW i byli kolegami.

Kolejnym nadleśniczym Nadleśnictwa Płońsk był pan Stefan Borer, o którym już wcześniej wspominałem. On zaczął pełnić swoje obowiązki w 1951 roku i pełnił je do roku 1958.

Po jego śmierci w 1958 roku nadleśniczym Płońska został pan Józef Zyśk. On z kolei pełnił tę funkcję do końca kwietnia 1962 roku. To nie był łatwy okres. Wtedy we wszystko ingerowała partia, a on nie tylko odmawiał wstąpienia do niej, ale w dodatku był szczególnie znany ze swojego wyjątkowego wyczulenia na wszelkie przejawy partyjności. Skończyło się to w końcu usunięciem go ze stanowiska nadleśniczego, mimo, iż był to człowiek bardzo pracowity, ambitny, ciągle poszerzający wiedzę. Z czasem uzyskał też tytuł inżyniera.

Po nim, wiosną 1962 roku nadleśniczym został urodzony w Zakroczymiu pan Stefan Kłosiewicz i był nim aż do roku 1977. Znałem go dobrze. On z kolei pozostał w mojej pamięci jako postać zagadkowa, tajemnicza, głównie ze względu na swoją partyzancką przeszłość, bowiem podczas okupacji działał w podziemiu. (1 kwietnia 1944 roku wstąpił do struktur AK w powiecie Ostrów Mazowiecka). Pamiętam, że jeszcze w rok po wojnie nie chciał się ujawnić i nadal ukrywał się, występując pod fałszywym nazwiskiem. W Nadleśnictwie Przejmy zatrudniony był pod nazwiskiem „Czajkowski.”

Znał Pan też Piotra Konstantynowicza, który w latach trzydziestych ubiegłego wieku był pracownikiem administracji lasów państwowych w Nadleśnictwie Białowieża a bezpośrednio przed wojną - leśniczym Nadleśnictwa Iwanowicze na Polesiu. Gdy wybuchła wojna, walczył jako żołnierz września 1939 roku, a po klęsce wrześniowej, przez krótki okres był leśniczym Leśnictwa Holeszczyce. Jego dalsze losy zawiodły go najpierw na Wschód, bo Rosjanie deportowali go do obozów pracy w rejonie Archangielska, a potem na Zachód, gdzie walczył w 3 Dywizji Strzelców Karpackich a w latach 1944-45 uczestniczył w Kampanii Włoskiej, walcząc m.in. o zdobycie Monte Cassino, Loreto, Ancony, Bolonii...

Poznałem go kiedyś w Nadleśnictwie Płońsk. Był wtedy leśniczym w leśnictwie Tustań, które to stanowisko objął po panu Franciszku Czerniku. Mnie wprawdzie wkrótce potem przeniesiono do Ciechanowa, jednak nadal spotykaliśmy się przy okazji różnych szkoleń, bowiem w tamtych czasach szkolenia organizowano z udziałem kilku nadleśnictw, by w ten sposób usprawnić ich prowadzenie. Zawsze odłączałem się wtedy od kolegów z Ciechanowa i dołączałem do starej gwardii z Płońska.

Bo, jak wspominałem, także po przejściu do Ciechanowa wciąż utrzymywałem więzi z byłymi kolegami z Płońska!.. Utrzymywałem je nawet wówczas, gdy sam byłem już na emeryturze. Trwało to aż do śmierci śp. Piotra Konstantynowicza, mojego ostatniego, najstarszego kolegi, którego pożegnałem jesienią ubiegłego roku (zmarł 18 września 2004 r.). Znałem go właściwie do ostatniej chwili, do ostatniego pożegnania. Pamiętam, że na jego pogrzebie widziałem już tylko dwóch leśników spośród całej starszej generacji.

To była wspaniała postać!.. Człowiek o wielkiej kulturze i bogatej wiedzy zawodowej, łatwo nawiązujący kontakty, swobodny w rozmowie, obyty i bardzo sympatyczny w kontaktach. On, proszę pani, wiele przeżył. Bywały takie sytuacje, gdy mogliśmy swobodnie rozmawiać a wtedy opowiadał o swoich przejściach wojennych. Czasami było to w szerszym gronie, podczas rozmaitych narad lub odpraw,

a czasami bardziej kameralnie, jak na przykład w domu mojego brata, gdzie nocowaliśmy po którymś ze szkoleń, gdy nie zdążyliśmy na powrotny pociąg czy autobus. Pamiętam, że całą noc rozmawialiśmy wtedy na temat jego przeżyć wojennych. Nie podjąłbym się jednak streszczenia jego losów, zbyt wiele przeżył.

Związki Pana z leśnictwem datują się od końca lat trzydziestych ubiegłego wieku, zna Pan więc zarówno środowisko leśników przedwojennych, jak i powojennych. Jak dziś wypada porównanie?

Mogę tylko powiedzieć - cieszę się, że jest lepiej a nie gorzej. Bo w systemie, w jakim mnie przyszło zacząć pracę w leśnictwie, niewielka była nadzieja, że kiedyś będzie lepiej. Leśnictwo zawsze było najgorzej wyposażone, nasze uposażenia zawsze sytuowały się na poziomie średniego wynagrodzenia albo i niżej. Trwało to przez długie lata. Na okres mojej pracy zawodowej nie przypadły jakieś większe zmiany w tym względzie. Doszło do nich dopiero, gdy ja już przeszedłem na emeryturę.

Jeśli dziś wspominam trudy naszej pracy, to wyłącznie po to, by młodej generacji leśników przybliżyć wiedzę o tym, jak było, w jakich bólach powstawało po wojnie leśnictwo państwowe. Myślę, że my wszyscy możemy być dziś dumni z tego, czego dokonaliśmy, a Lasy Państwowe mogą być dla innych instytucji przykładem dobrej, wręcz wzorowej organizacji pracy.

Wiem, że choć od 1983 roku jest już Pan na emeryturze, sprawy leśnictwa nadal są Panu bliskie. Czy jest coś, co chciałby Pan dziś szczególnie przekazać środowisku leśników w Polsce?

Bywają sytuacje, gdy dla leśnictwa pojawiają się zagrożenia, kiedy zagrożony jest normalny rozwój gospodarki leśnej. Patrząc dziś z perspektywy czasu na naszą gospodarkę leśną nie można zapomnieć, że w okresie PRL-u takie zagrożenia były, jak choćby projekt pana inżyniera Borowego z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku dotyczący wprowadzenia gospodarki bezzrębowej czy też – datujące się na ten sam okres – żądanie dostarczania określonej ilości sortymentów do pewnych zakładów, które nie brało pod uwagę możliwości wynikających z szacunków brakarskich. Nadziei nie spełniły też chyba oczekiwania związane z bardzo kosztownymi plantacjami topolowymi, podobnie jak chybionym pomysłem mającym usprawnić gospodarkę leśną było wprowadzenie dodatkowego ogniwa administracyjnego, tzw. „Rejonów LP”... Szczęśliwie, wszystkie te pomysły po krótkim czasie eksperymentowania wycofano, a przyczyniła się do tego właściwa postawa wszystkich leśników bez względu na ich poglądy polityczne, i chwała im za to!...

W obecnej rzeczywistości także zaczęły pojawiać się różne ryzykowne pomysły - projekty prywatyzacji, użycia lasów jako ekwiwalentu za utracone mienie, czy też wprowadzenia dodatkowych opodatkowań. Teraz znów leśnicy muszą na te zagrożenia reagować. I czynią to, podobnie jak przed laty ich starsi koledzy. Wiem, że wyrazili swój sprzeciw składając protest wystosowany do Rządu RP, pod którym widnieją nie tylko podpisy samych pracowników lasu, ale także społeczeństwa. Ale wiem też, że nie wszystkie zagrożenia daje się powstrzymać, nie udało się na przykład uchylić rozporządzenia doty-

czego lasów niepaństwowych odnoszącego się do „dowolnego” wyrębu przez ich właścicieli, czego skutki są już nad wyraz widoczne!. W tym jednak przypadku jest to efekt działalności politycznej.

Na pytanie, czy jest coś, co chciałbym dziś szczególnie przekazać młodym pokoleniom leśników, odpowiem, że przede wszystkim chciałbym życzyć im wszystkim wielu dalszych sukcesów przynoszących pożytek lasom, ale także im samym i całemu społeczeństwu. Tym bardziej, iż polskie lasy są dziś, jak wszyscy widzimy, przedmiotem zainteresowania całej Europy, która z uwagą śledzi osiągnięcia polskiego leśnictwa.

DARZ BÓR



Pamiętkowy kamień z tablicą odsłoniętą w dniu 18 czerwca 2005 roku upamiętniającą płońskich leśników.

Motto: „Ten żyw, kto w pamięci jeszcze”



Nadleśniczy Lucjan Czczott



Nadleśniczy Stefan Borer,
wcześniej leśniczy leśnictwa Kępa



Nadleśniczy Stefan Kłosiewicz



Roman Sowiński
Leśniczy leśnictwa Miszewo



Leśniczy Władysław Sacewicz



Eugeniusz Malechowski
- leśniczy leśnictwa Dziektarzewo